



W warszawskiej dzielnicy Białołęka, niedaleko miejsca, w którym mieszkam, stoi bardzo, bardzo, bardzo brzydki budynek. Jest szary i odrapany. W oknach ma grube czarne kraty. Ze wszystkich stron otoczony jest wysokim murem, na którym umieszczono małe budki z daszkami. W budkach siedzą strażnicy z karabinami i uważnie obserwują, co dzieje się w środku. Olbrzymia żelazna brama w murze wygląda jak wrota starożytnej warowni. Jest zamknięta na głucho i jeszcze jeden strażnik pilnuje, żeby nie otworzył jej nikt

niepowołany. Z tego brzydkiego budynku niedaleko miejsca, w którym mieszkam, bardzo trudno wyjść - to więzienie.

Więzienia po to są na świecie, żeby trzymać w nich ludzi, którzy zrobili coś wyjątkowo złego. Siedzą za kratami za karę. Mają przemyśleć swoje zachowanie i zmienić się na lepsze. Tylko że w życiu nie zawsze dzieje się tak, jak powinno się dziać. Do więzienia nie zawsze trafiają ludzie, którzy powinni tam trafić. Kiedyś na przykład, gdy byłem jeszcze małym chłopcem, w pewną mroźną grudniową noc na ulicach mojego miasta pojawiły się czołgi, a jeden pan generał w czarnych okularach ogłosił w telewizji, że teraz będzie stan wojenny. Wiele osób, którym nie podobały się rządy pana generała i jego kolegów, zostali zamknięci w tym właśnie ponurym więzieniu niedaleko mojego domu. Na szczęście dawno stamtąd wyszli, a pan generał nie rządzi już w Polsce. Teraz nie zamyka się ludzi za nielubienie kogokolwiek. Nadal jednak niestety - i pewnie tak już będzie zawsze - może zdarzyć się pomyłka. Do więzienia może trafić ktoś, kto tylko wygląda na winnego.

Kilka lat temu gazeta, w której pracuję, zleciła mi napisanie cyklu reportaży o ofiarach takich pomyłek - ludziach, którzy nie zrobili nic złego, a mimo to trafili do więzienia. Zbierając materiały, niemało czasu spędziłem za kratami. Oczywiście zawsze, kiedy tylko zapragnąłem opuścić to ponure miejsce, mogłem wstać, schować do teczek mój reporterski dyktafon i niezatrzymywany przez nikogo wyjść przez potężną bramę. Po drugiej stronie muru zostawali złodzieje, mordercy, oszuści i chuligani. Większość z nich najczęściej przysięgała, że padła ofiarą tragicznej pomyłki, ale mnie nie tak łatwo było nabrać. Dlatego kiedy pierwszy raz szedłem na spotkanie z maestro Bombalinim, też spodziewałem się usłyszeć jakąś pomysłową bajeczkę.

Znajomy strażnik wprowadził mnie wtedy do sali widzeń i ruchem ręki wskazał stolik w kącie. Pomieszczenie było zupełnie puste. Przychodziłem zwykle poza oficjalnymi godzinami widzeń, żeby móc w spokoju porozmawiać z bohaterami moich reportaży. Tamtego popołudnia siedziałem przy stoliku i niecierpliwie bębniłem palcami w blat. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, żeby ten cały Bombalini mógł mi powiedzieć cokolwiek wartego uwagi.

Wreszcie drzwi sali widzeń otworzyły się i wprowadzono więźnia. Na groźnego przestępcę to on rzeczywiście nie wyglądał - maty, łysawy, z nieprawdopodobnie okrągłym brzuszkiem, przypominał cyrkowego klauna przebranego w więzienny strój.

- Za co pan siedzi, panie Pampalini? - spytałem przyjaźnie, od razu przechodząc do rzeczy.

- Bombalini - poprawił mnie człowieczek i wzruszając ramionami powiedział: - Przecież pan wie, że za niewinność.

Tego oczywiście nie mogłem wiedzieć. Owszem, mój redaktor naczelny, zlecając mi zajęcie się tą sprawą, przedstawił ją w zarysie, ale to, co od niego usłyszałem, raczej mnie nie przekonało. Wyjaśnienia Bombaliniego, sądząc ze słów mojego szefa, brzmiały tak niewiarygodnie, że musiały być albo wytworem chorej wyobraźni więźnia, albo częścią przebiegłego planu mającego na celu odzyskanie wolności. Szedłem więc do więzienia pełen podejrzeń, ze szczerym zamiarem zdemaskowania oszusta i jak najszybszego zakończenia rozmowy.

A jednak stało się inaczej. Nie tylko zostałem w sali widzeń o wiele dłużej, niż planowałem, ale zafascynowany historią Bombaliniego, wracałem tam jeszcze nie raz. Do dzisiaj nie jestem pewien, jak śmiesznemu grubaskowi w więziennym mundurku udało się rozwiać moje wątpliwości. Może sprawiła to jego pocziwa rumiana twarz, na której każde oszustwo natychmiast byłoby widać, a może smutne, bardzo smutne spojrzenie jego wielkich orzechowych oczu... Dość, że całkiem niespodziewanie dla mnie samego, a nawet trochę wbrew sobie, zacząłem wierzyć w jego niewinność już od pierwszych chwil naszej znajomości.

- Proszę mi wszystko dokładnie opowiedzieć, panie Bombalini - poprosiłem, wciskając guzik „play” w moim dyktafonie.

Paweł Beręsewicz, *A niech to czekolada*, il. Piotr Fąfrowicz, Warszawa 2011, s. 66–70